

ANTONI LANGE

---

**Sen**

ANTONI LANGE

W CZWARTYM WYMIARZE

## Sen

Redakcja „Absolutu” ogłosiła pewnego razu ankietę o snach.

Szło mianowicie o zbadanie, czy istnieje jakiegokolwiek terytorialne, masowe prawo analogii widzeń sennych — czy też jest to dziedzina bezwzględnie osobista.

W odezwie do publiczności umieszczono prośbę, aby zechciała pilnie śledzić swoje sny — między dniem 10 a 20 września — i aby je w możliwie dokładnym opisie przesłała, oznaczając przy tym płeć, wiek, zajęcie itd.

Redakcja liczyła co najmniej na półtora tysiąca odpowiedzi. Tymczasem, jak to najczęściej bywa u nas, gdzie ogół traktuje ankiety bardzo apatycznie, nie otrzymano listów więcej nad trzydzieści parę, przy czym większość pochodziła od różnych figlarzy, z których ten i ów opisywał swoje wielce niecenzuralne przygody z Lolotą, Szarlotą, Pepitą itd. Niektórzy opowiadali rzeczy bardzo znane: latanie po powietrzu, ucisk zmory itd., co wszystko wynika z powodów czysto mechanicznych i nie jest ani socjalne<sup>1</sup>, ani osobiste. Kilka starych panien opisało rojenia o swoich dawnych straconych zachodach miłości; inni podróże po Chinach i Indiach, albo znów echa przeczytanych książek.

Ostatecznie można ankietę uważać za chybioną. Zgromadzony materiał nie pozwalał osądzić, czy istotnie ludność, zamieszkująca pewne terytorium, ma w swoich widzeniach sennych pewną linię wspólną, czy ulega pewnym prawom socjologicznym — czy też jest to dziedzina anarchicznej dowolności.

Jeżeli jednak niektórzy uczeni z fenomenu snów wyprowadzają całą niemal mitologię, pierwotne pojęcia o duszy, o jej wędrówkach i nieśmiertelności — to prawo masowe widzeń sennych jest wielce prawdopodobne.

Redakcja „Absolutu” nie traci nadziei, że gdy za parę lat podejmie tę samą ankietę, uzyska większą liczbę odpowiedzi na ten ważny problemat psychologii narodowej.

Otrzymaliśmy — pomimo wszystko — parę listów ciekawych — i owszem, jak się pokazało, są ludzie, którzy widzenia senna niejako kultywują. Czasami zdarza się nawet, że ci, co życie rzeczywiste mają szare i jałowe, we śnie rozwijają niezmiernie bogactwo niespodziewanych, barwnych obrazów. To wewnętrzne życie duszy, choć nie związane ściśle z zagadnieniem pierwotnym ankiety, ma swoją osobliwą wartość — i redakcja „Absolutu” nie wahała się tych listów publikować. Korzystając z pozwolenia redakcji, ogłaszamy też niektóre referaty.

Oto co pisze pan Józef N.

...Płeć: męska.

Wiek: lat czterdzieści sześć.

Zawód: nieokreślony; właściwie jestem wykolejńcem: próbowałem nauczycielstwa, gospodarki rolnej, agentury handlowej; służyłem w konspiracjach, robiłem dzwonki elektryczne, kapsułki dla aptekarzy itd. Skończyłem ostatecznie na dziennikarstwie. Pracuję w pismach codziennych A. B. C. Płacą mi bardzo mało. Jestem nikomu nieznany. Stanowię tzw. siłę użyteczną. Ściągąm różne — mądre i głupie — rzeczy z gazet zagranicznych. Nikomu nie zazdrozczę, do nikogo nie mam pretensji — z nikim też się nie zbliżam.

Z kobietami dawno zerwałem — albo raczej one ze mną, o ile można w tej sprawie wykryć pierwszeństwo. Żyję niemal bezwzględnie sam, tylko w jednej małej kawiarni spotykam się od czasu do czasu z kilku znajomymi. Zginałbym niewątpliwie z nudów,

<sup>1</sup>socjalny — tu: społeczny. [przypis edytorski]

wlokąc życie bezbarwne i beznadziejne, gdyby nie to, że odkryłem w sobie jeden cudowny talent.

Umiem spać!

Talent bardzo rzadki — i nie wiem, czy znajdzie się na świecie siedmiu braci śpiących, ale śpiących umiejętnie, mądrze, artystycznie... Talent ten rozwijałem w sobie długo, starannie i systematycznie. Sen — to moje realne życie: śpiąc, mam świadomość snu; żyjąc, nie mam świadomości życia. Co noc przeżywam nadzwyczajną, bezładną, fantastyczną, ale bardzo interesującą historię. Moment przebudzenia — to dla mnie moment zgrozy; nowe zejście w rzeczywistość, której z głębi serca nienawidzę.

Długo pracowałem nad sobą, zanim osiągnąłem ciągłość widzeń. Najważniejszą sprawą było tu dla mnie zwalczanie przestרחu. Dawniej, gdy jeszcze mnie interesował świat zewnętrzny — ile razy w widzeniu groziło mi niebezpieczeństwo, natychmiast się budziłem. Była to w istocie ucieczka, na jawie w takim wypadku byłbym hańbą okryty; z drugiej strony uchodzić z niebezpiecznych krain widmowych w jeszcze niebezpieczniejszy świat okropnej jawy — jest to niedorzeczność. Postanowiłem tę trwogę we śnie przewyciężyć: nie uciekać, nie budzić się ze snu, ale dalej trwać w tej wizji, która chwila mi bywa groźna, ale gdy trwogę zwyciężysz, jeszcze większe cuda zobaczysz.

Miałem świadomość snu — i w pewnych okazjach mówiłem sam do siebie: to sen — tu ani śmierć, ani życie nie jest rzeczywiście rzeczywistym; tu nic ci nie grozi, oprócz przebudzenia: żyjesz w wieczności — wiekuiście umarli.

W nocy z d. 10 na 11 września r. b. miałem sen następujący:

Śniło mi się, że byłem na jakimś bulwarze, który zdobiły całe szeregi klonów, topól i kasztanów. Niby to było miasto, niby ogród. Po ulicach krążyło niewiele osób, a godzina była przede zmierzchem. Uwagę moją zwróciła pewna młoda osoba, najwyżej lat dwudziestu, powierzchowności tak ujmującej, że oczu nie mogłem od niej oderwać, i nieznamoma też uśmiechała się do mnie tak słodko, że czułem — zbliża się moment mojego szczęścia: to jest właśnie ta, której szukałem na ziemi — i jużem chciał jej powiedzieć słowo ostateczne, gdy zaczęła mnie niepokoić pewna szczególna okoliczność: dziewczyna, kształtna, ślicznie zbudowana, w popielatej skromnej sukni szła jak sarenka na drobnych nóżkach, nęcąca i świetlana, ale ręce jakoś tajemniczo ukrywała pod niebieskim fartuskiem. Pomyślałem więc sobie, aby ręce pokazała, i, posłuszna mojej myśli, natychmiast ręce wyjęła: na ten widok zdrętwiałem z przerażenia i zimny dreszcz mnie przeniknął. Ta prześliczna dziewczyna o twarzy Madonny miała po siedem, osiem, nie! po jedenaście palców, dziwacznie umocowanych, u każdej ręki. Dziewczyna spostrzegła mój niepokój. — Ach, ty mnie opuścisz! — mówiła żałośnie. Jakoż ja, pełny niezgłębionego smutku, poszedłem dalej, bo mnie ta potworność zraziła. Dziewczyna pod drzewem padła rozplakana.

Zastanawiałem się jeszcze nad tym dziwem, gdy ujrzałem naprzeciw siebie kobietę kolosalną, prawdziwą kariatydę o twarzy bogiń egipskich. Brylantową gwiazdę miała na czole i nosiła purpurową, grecką, rozwartą u boku — suknię. Posuwała się z wolna — z wolna, jak przystoi bogini. Czułem się wobec niej maleńki, ale mnie czarował jej ogrom i chciałem hołd jej złożyć. Uśmiechała się do mnie życzliwie i padłem przed nią na kolana. Naraz<sup>2</sup> jej grecka suknia od wiatru uchyliliła się nieco, odsłaniając jej białe ciało, ale znów ze zgrozą ujrzałem straszną tajemnicę: ta kobieta wcale nie miała nóg, był to olbrzymi tors, oparty na stopach, którymi z trudem poruszała.

— Co za potwór! — pomyślałem i raz jeszcze uciekłem.

Nie, chyba bóg miłości, królujący w marzeniach sennych, nie łaskaw dziś na mnie. Tymczasem nowa zjawiała się na mej drodze istota; była to kobieta średniego wzrostu, w sukni jaskrawo żółtej, cerę mająca barwy cygar hawańskich *colorado maduro*.

— Ach, na koniec widzę ciebie — zawołała. — Kocham ciebie, Arionie.

(N. B. We śnie tracę swoje imię realne — Józef — i nazywam się Arion).

— Czy ci nie wstyd myśleć o takich rzeczach — odparłem, nie bez awersji patrząc na tego koczokodana. — Lepiej byś się czegoś nauczyła.

— Ale owszem — rzekła na to hawanna — ja umiem geometrię. — I ujęła mnie za rękę.

<sup>2</sup>*naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

Nie, nie wytrzymam takich okropnych widzeń! Zacząłem znowu uciekać bulwarem (tylko się nie obudź — mówiłem sobie). Domów było tu niewiele. Naraz ujrzałem wrota, niby sklepu jakiegoś; otworzyłem je, wpadłem do izby, pośpiesznie zamknąłem. Była to pracownia rzeźbiarska, w której siedział młody człowiek, zapewne artysta — przed cudownym posągami z białego marmuru: była to postać tanecznicy na paluszkach lewej nogi oparta, prawą niemal poziomo w tył przesunęła, sama z lekka pochylona. Grecką fletnię trzymała w ręku. Dzieło było skończone, ale wynik pracy był ten, że artysta siedział martwy jak posąg z dłutem w ręku, a marmurowa tanecznica żywo się poruszała i, grając na fletni, wzywała mnie ku sobie.

— Kochanku mój — wołała.

— Galatea! — krzyknąłem. — Kocham cię — kocham na wieki! O, jakżem szczęśliwy.

Istotnie byłem szczęśliwy — znalazłem swoją boginię! Ale była we mnie trwoga, że okropna Indianka może się zjawić i zatruć mi tę godzinę cudu:

— Uciekajmy — zawołała Galatea, i już tę nogę, co była oparta o piedestał, podnosiła, jakby zawieszona w powietrzu — gdy naraz otwarły się drzwi pracowni i wpadła megiera: głowę pokryła swoją żółtą suknią, a na brunatnych nogach skakała jak małpa. W ręku miała siekiere i wołała:

— Ja rozwalę twoje szczęście!

I na drobne kawałki rozbiła marmurową dziewicę.

— Po co mi ta geometria! — ryknąłem z rozpaczy, aż się rzeźbiarz martwy przebudził.

— Galatea — wołał — Galatea! — i wyrwawszy z rąk wiedźmy siekiere — odrąbał jej głowę, potem sobie samemu, wreszcie i mnie chciał podobnie uraczyć, ale tu — wyznając nie bez wstydu — wziąłem nogi za pas i umknąłem.

(Nie była to ucieczka ze snu w rzeczywistość, ale tylko z pracowni, gdzie zginęła biała tanecznica!)

Znalazłem się sam na pięknej, obszernej łące, zarosłej bujną trawą i pokrytej barwistym kwieciami. Zapach siana unosił się w powietrzu, jakby łąkę świeżo skoszono. Piękna ta miejscowość leżała nad dość szeroką rzeką; po drugiej stronie rzeki stał mój dom, wiedziałem o tym i chciałem się tam dostać. Most łączył oba brzegi, ale przejście przez most było bardzo ciężkie, gdyż mniej więcej co pięćdziesiąt kroków stały tam na straży jakieś groźne zwierzęta: u wejścia dwa bure niedźwiedzie, dalej wielkie psy o oczach jak filiżanki, dwa nosorożce z rozdziawioną mordą, dwa ziejące ogniem smoki. Jeden z tych strażników stał zawsze po prawej stronie mostu, drugi po lewej.

W niemałej trwodze ruszyłem naprzód, bo innej drogi nie było. Chciałem udać, że mnie wcale nie ma, i tak się jakoś prześlizgnąć, aby mnie te bestie nie spostrzegły. Jakoż niedźwiedzie tylko coś węszyły — i, obwąchawszy, przepuściły mnie swobodnie, ale psy z okropnym ujadaniem rzuciły się na mnie, jakby mnie chciały poszarpać; — zimny pot lał mi się z czoła, a koniec mostu był tak daleko — tak daleko! Ze łzami w oczach biegłem naprzód, aż się znalazłem na linii nosorożców; te bez litości porwały mnie na rogi i rzuciły powietrzem aż pomiędzy dwa ogniste jaszczury. Smoki naraz zaczęły mnie zalewać swoim ogniem i spaliłbym się na popiół, gdyby nie to, że strumienie stawały się coraz chłodniejsze, aż na koniec zmieniły się w bardzo przyjemny prysznic zimnej wody, jakbym był w Nowym Mieście albo Nałęczowie.

Był to koniec mostu; szczęśliwie przeminąłem wszystkie potwory i wydostałem się na drugi brzeg rzeki. Przez jakieś ogrody, ścieżki, zagajniki — trafiłem wreszcie do domu. Byłem niezmiernie znużony i położyłem się do łóżka. Chwilę tak drzemałem, gdy naraz zapukano do drzwi.

— *Entrez*<sup>3</sup>!

Wszedł listonosz. Miał w ręku list o pięciu czerwonych pieczęciach; widać pieniądze dla mnie. Było mi dziwnie nieprzyjemnie.

— Nie przyjmę tych pieniędzy — rzekłem do listonosza. — Pieniądze we śnie oznaczają goliznę na jawie. (Jak widzicie, miałem we śnie szczególnie skojarzenia świadomości). Wyjdź pan.

— Nie wyjdę. Muszę panu ten list oddać.

<sup>3</sup>*entrez* (fr.) — proszę wejść! [przypis edytorski]

— Nie przyjmę, rozumiesz pan, Innocenty ósmy! (tak go nazwałem, sam nie wiem, dlaczego).

— Musisz przyjąć ten list, psia duszo!

— Cóż to za sposób mówienia? Ręce i nogi ci połamię.

— No, no, spróbuj tylko — rzekł listonosz i wyjął długi nóż, z rodzaju tych, jakich używają Apasze, ale ja porwałem go za kołnierz i strąciłem ze schodów; sam zaś wyskoczyłem przez okno — i zacząłem pędzić bez celu — wprost przed siebie.

Byłem na placu San Marco w Wenecji. Dzwony były w kościołach Santa Maria del Salute, San Giovanni e Paolo, San Giorgio Maggiore, a ja myślałem sobie:

— Ucieknę na Campanillę.

Jakoż szybkim krokiem pobiegłem ku dzwonnicy, a potem po schodach śpieszyłem coraz wyżej a wyżej na górę. Czulem jednak za sobą pogoń: ścigał mnie listonosz, a wraz z nim dwaj żołnierze, ci sami (poznałem ich od razu), którzy mnie w przeszłym roku prowadzili na Pawiak.

— *Ach, ty sukinsyn* — wołali — *prymiesz al nie prymiesz bumagu*<sup>4</sup>?

— Nie — nie!

I uchodziłem coraz wyżej, a gdyśmy już byli na szczycie, wśród dźwięku dzwonów, żołnierze *prykładami* potrzaskali moją osobę, a listonosz im rzecze:

— A teraz go na dół.

Jakoż strącili mnie ze szczytu Campanilli, a ja spadałem — spadałem bez końca. Ciemność straszliwa zapanowała dokoła — i zaczęło grzmieć; pioruny były nieustannie, a w końcu zahuczał głos, potężniejszy od wszystkich piorunów.

Karając plemię ludzkie zbrodniami zatrute,  
Bóg wyrzuci tę ziemię, jak on swą redutę<sup>5</sup>.

Potem wszystko ucichło i w nieprzeniknionej czerności leżałem, nieprzytomny i umarły.

Po jakimś czasie pewna świadomość zaświtała we mnie. Byłem trupem — to wiedziałem doskonale — i moja śmierć kojarzyła się z pewną samowiedzą.

Znajdowałem się w obszernej, słabo oświetlonej sali. Zupełnie obnażony, leżałem na podłużnym, dosyć wąskim stole. Stołów podobnych było kilkanaście, a na każdym podobnie obnażony człowiek. Po sali krążyli młodzi ludzie i szeptali coś po łacinie: *sartorius*, *gluteus*, *bulbacavernosus*, *cricothyrioïdius*, *stylo-pharyngius*, *duodenum*, *jejunoileum*.

Byli to studenci medycyny, a sala ta — to oczywiście prosektorium. Jeden mówił, pokazując na mnie:

— Najpierw pokrajemy *tego*! Egzemplarz niezły.

Leżałem w milczeniu, ale skoro tylko studenci wyszli, podniosłem głowę i zacząłem rozglądać się dokoła. Naraz usłyszałem głos, który mnie przeniósł w lata młodzieńcze.

— Ale ten, co mnie będzie krajał — to bardzo przystojny chłopiec!

— Marylka! — zawołałem w stronę, skąd głos dochodził — a ty co tu robisz?

— To samo, co i ty! Będą się na mnie uczyć anatomii.

— A zawsze jesteś kokietka i lekkomyślna! Już ci się ten studencik spodobał.

Marylka była to moja pierwsza miłość; kochałem się w niej, będąc jeszcze w gimnazjum; ona też była pensjonarką, ale że to była zawsze dziewczucha trochę szelma, więc nagryzłem się niemało z jej powodu. I teraz już się spodobał jej ten student.

— Nic się nie zmieniłaś — powiedziałem jej na pół z wyrzutem.

Ale ona śmiała się ze mnie.

— A boś ty mnie nie zdradzał? Patrz, tu są twoje wszystkie... Julia — Krysia — Wanda — Janina — Natalka — Leonka...

Jakoż istotnie były one tu wszystkie. Znalazłem się naraz w najśladzszym towarzystwie kobiet, które w rozmaity sposób wiązały się z moim życiem.

<sup>4</sup>*prymiesz al nie prymiesz bumagu* (zniekształc. ros.) — przyjmiesz papier czy go nie przyjmiesz? [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Karając plemię ludzkie zbrodniami zatrute, Bóg wyrzuci tę ziemię, jak on swą redutę* — zniekształcone zakończenie *Reduty Ordon* A. Mickiewicza. [przypis edytorski]

Wszystkie leżały na stołach prosektorium, tak jak ja — i wszystkie, jak ja, w zupełnym obnażeniu.

Wstaliśmy ze swoich stołów i zaczęliśmy wspominać dawne czasy; Krysia boczyła się nieco na Leonkę, że niby jedną opuściłem dla drugiej, a Marylka nieustannie wybuchała śmiechem. Brak sukien istotnie powiększał tylko poufność zebrania. Osobliwa rzecz, nikomu z nas nie przyszło na myśl, że moglibyśmy uciec. Z rezygnacją oczekiwaliśmy na nóż anatomów.

Wkrótce usłyszeliśmy zbliżające się kroki studentów — i zanim ci weszli do sali — my, umarli, śpiesznie powróciliśmy na swoje miejsca. Pozamykaliśmy oczy i leżeliśmy nieruchomo.

Jeden ze studentów zbliżył się do mnie — i wpakował mi nóż w serce, potem zaczął mnie krajać wzdłuż i w poprzek. O, jakże mnie to bolało! jakże się wilem kurczowo! Ale milczałem, jak przystoi umarłemu (tylko się nie budź! — mówiłem do siebie).

— Gotowy! — rzekł wreszcie student, a mnie znów ogarnęły ciemności.

Złożono mnie na jakimś wozie. Leżałem bardzo niewygodnie na dwóch poprzecznych ławkach — z próżnią pośrodku. Wóz podskakiwał i ja podskakiwałem. Wkrótce stało się jasno, byłem na szerokiej drodze: zacząłem się przyglądać swemu karawanowi. Była to furka tatrzańska, ale bez płótna na wierzchu. Leżałem na wznak i widziałem niebo. Woźnica, którym był sam Don Pedro, infant hiszpański, jechał powoli, krok za krokiem, aż mnie dręczyła ta niemrawość. No, ale tak się jedzie na cmentarz.

— I nie wiem, co się stanie z Marylką i z tą całą geometrią!

Naraz usłyszałem za sobą głosy: to moi znajomi z kawiarni Miki szli za moim pogrzebem.

— Szkoda chłopca — mówił Andrzej — posiekali go na drobne kawałki.

— Bardzo dobrze z nim zrobili — stentorem<sup>6</sup> odparł Franciszek.

— Zawsze jesteś nieludzki — oburzył się Edward.

— Może być, ale jeżeli dla podniesienia ludzkości trzeba będzie wyróżnić dziesięć tysięcy takich jak on — to wyróżniemy ich z czystym sumieniem. Bo cóż on miał za związek z rzeczywistością? Żył tylko snem, a czyż sen jest w jakimkolwiek stosunku z produkcją? W żadnym. Arion stał poza wszelką produkcją. Był to człowiek nierealny, jego życie było nierealne — i jego śmierć jest nierealna.

— Rzeczywiście — pomyślałem sobie — moja śmierć wcale nie jest realna, ale dlaczego ten walkoń Don Pedro tak powoli mnie wiezie na cmentarz?

Natychmiast się podniosłem i kilka razy dałem infantowi po karku.

— Cóż to, psia mać, Najjaśniejszy Panie, jedziesz tak powoli? Pędź galopem.

— Jak ta sobie chcecie, panoczku. Polecę jak aeroplan. (Tak odpowiedział Don Pedro, ale właściwie był to Pietrek z Jaworowa).

I natychmiast poleciliśmy z najwyższą szybkością. W parę minut byliśmy na szczycie Giewontu, potem wskoczyliśmy na Łomnicę, z Łomnicy na Murań, z Murania na Zawrat, z Zawratu na Polski Grzebień.

— No, dosyć już, dosyć! Gdzież ten cmentarz?

Ale nie było ani cmentarza, ani furki, ani Don Pedra. Widocznie mi się gdzieś zatracił.

Leżałem na placu Świętego Aleksandra, w pobliżu ulicy Książęcej; a koło mnie stał listonosz i rzecze:

— Czegóż pan uciekał? To wcale nie pieniądze. To z magistratu *powiastka*.

— A widzisz? — usłyszałem naraz z dwóch stron, a mówiły to owa Indianka w żółtej sukni i marmurowa Galatea, która stała nade mną uśmiechnięta, z lewą nogą poziomo w tył wygiętą.

— No, to dajcież tę *powiastkę*.

Po czym list otworzyłem i czytałem takie zawiadomienie:

— Za numerem XY. Józef N. winien był za przetrzymanie paszportu zagranicznego Rubli 120 — sto dwadzieścia, który to dług zostaje umorzony, gdyż sumy powyższej żadną miarą wyegzekwować od wyżej oznaczonego Józefa N. — niepodobna, albowiem on nic nie posiada i nie ma nadziei, żeby kiedykolwiek cokolwiek posiadał.

<sup>6</sup>stentorem — donośnym i poważnym głosem (od imienia Stentora, jednego z bohaterów *Iliady* Homera). [przypis edytorski]

Było to świadectwo ubóstwa, które we śnie jest dobrym znakiem. Jednakże za ledwie to odczytał, gdy zarówno czarna jak biała dama — śmiać się zaczęły ze mnie do rozpuku, a Indianka język mi pokazała.

— Nie ma nic — i nie ma nadziei, aby kiedykolwiek cokolwiek...

— Ale owszem, ja mam dwadzieścia groszy — odparłem, pokazując dwie srebrne dziesiąteczki.

— To ci starczy ledwie na czarną kawę! Do widzenia.

To rzekłszy, poszły sobie precz: Galatea, skacząc na jednej nodze, a wiedźma, *colorado maduro*, fikając koziołki — tak, że raz widać było jej brunatne nogi, raz jej żółtą spódnicę.

Zostałem sam jeden — i tylko dwaj żołnierze, wymierzywszy we mnie karabiny, mówili:

— Wstań, sukin syn, i chodź z nami.

— Znowu mnie aresztowali — powiedziałem sobie — ale za co?

— *Nie twoje dzieło, a tam razbierut*<sup>7</sup>.

Poszedłem z nimi, ale żołnierze zaprowadzili mnie tylko do Miki i wydali rozkaz:

— Idź na czarną kawę!

Tak więc z rozkazu władzy wyższej poszedłem na czarną kawę. U Miki byli właśnie zebrani moi znajomi: Andrzej, Edward, Stasiek, Jan, Franciszek. Był też pan Antoni, który w ogóle rzadko do nas przychodził.

Na Franka boczyłem się nieco.

— Cóżes to ty gadał tam, na moim pogrzebie? że ja to nic, że niby trzeba mnie zarznąć?

— W każdym razie jesteś poza wszelką produkcją. Rozumiesz? Ale tu nie o to idzie. Posłuchaj, co opowiada pan Antoni. Ważna sprawa.

Jakoż istotnie wszyscy otoczyli pana Antoniego, a ten z uroczystym grobowym wyrazem twarzy mówił:

— Moi panowie, straszliwą prawdę muszę wam powiedzieć. Zawsze byłem trochę cynik, ale dzisiaj sumienie mnie dręczy. Zamordowałem swoją babkę, a teraz idę się oddać w ręce policji.

Byliśmy wzruszeni zarówno tragicznym wyznaniem p. Antoniego, jak i jego heroizmem — i postanowiliśmy wszyscy towarzyszyć mu do komisariatu policji.

P. Antoni miał minę tak zdecydowaną, że widać było na jego twarzy wielkie pragnienie pokuty. Szliśmy teraz ulicą Chłodną do cyrkułu<sup>8</sup>, gdy postać p. Antoniego, który pewnym krokiem szedł między nami, zaczęła się jakoś zacierać, niewyraźnić, stawała się mglistą, eteryczną, przezroczystą i niewidzialną... I gdyśmy stanęli u wrót cyrkułu — pan Antoni rozpląnął się jak mgła i zniknął bez śladu. Nie było go wcale!

— Rozpuścił się w kwasie policyjnym — rzekł pan Stanisław, chemik z zawodu.

— To nie ma żadnego związku ze sprawą produkcji — zdecydował Franek. — Wracajmy do Miki na kawę.

Powróciliśmy zatem do kawiarni. Tu jednak czekały mnie nowe przykrości: przy jednym ze stolików siedziała owa panienska, co miała po jedenaście palców u każdej ręki — i spoglądała na mnie okiem pełnym żalu. Byłem bardzo zmieszany — i udawałem, że jej nie widzę, gdy naraz jakiś nieznajomy jegomość zjawił się przy mnie: stał naprzeciw mego krzesła, ręce trzymał w kieszeni i, patrząc na mnie, pękał — jak to mówią, ze śmiechu.

— Ależ bój się Boga — rzecze — przecież Maraksudi to fabryka papierosów.

Z przerażeniem patrzyłem na tego człowieka, zacząłem drzeć całym ciałem z trwogi, zacząłem szczękać zębami i zimny pot wystąpił mi na czoło.

— Maraksudi — fabryka papierosów! — zawołałem wylękniony — i naraz się przebudziłem...

\*

— Maraksudi — fabryka papierosów! — szeptałem na jawie.

Wygnany zostałem z krainy snów. Ale po przebudzeniu jeszcze byłem przepełniony zgrozą!

<sup>7</sup>*Nie twoje dzieło, a tam razbierut* (ros.) — nie twoja sprawa, a tam to sprawdzą. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*cyrkuł* — komisariat policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

Koniec końców ostrzeżenie co do imienia Maraksudi zapamiętałem, a potem, oprzymiarszy, zacząłem sobie opowiadać całe widzenie senne od początku.

Muszę teraz dać małe wyjaśnienie. Wśród rozmaitych moich rozprawek z pism zagranicznych było coś o pisarzach arabskich, gdzie wspomniany był autor z IX wieku Masudi. Od czterech miesięcy artykuł był złożony i leżał w drukarni. Redakcja, zapewne z powodu nieaktualności tematu, trzymała tę rzecz w odwodzie. Owóż, robiąc korektę, z jakichś nieokreślonych przyczyn — zacząłem się baczniej przyglądać temu imieniu Masudi. Wydało mi się ono jakoś za mało arabskie; Masudi uważałem za błąd i naraz mi się przywidziało, że nazwisko to brzmiało inaczej. Ale jak? Próbowałem na rozmaite sposoby i nareszcie stało mi się jasno, imię to było Maraksudi — i takem skorygowałem. Potem zapomniałem o tym zupełnie, jak o wielu innych rzeczach.

Minęły cztery miesiące — i oto naraz we śnie najniespodziewaniej ostrzegł mnie jakiś nieznajomy.

Nazajutrz rano, skoro tylko wyszedłem na miasto, postanowiłem rzecz zbadać — i chodziłem od trafiki<sup>9</sup> do trafiki.

— Proszę mi dać papierosów z fabryki Maraksudi.

— Nie ma — nie ma! — odpowiadano mi wszędzie. Nikt nie znał tej fabryki i już zacząłem drwić sam ze siebie, że wierzę nieznajomemu panu, którego widziałem we śnie. Naraz na pewnym sklepie ujrzałem napis:

Skład główny wyrobów tabaczknych fabryki  
I. N. Maraksudi w Symferopolu

— Jest!

Kupiłem paczkę tych papierosów i zacząłem się im przyglądać. Były to papierosy zupełnie te same, które paliliśmy tajemnie, jako uczniowie II i III klasy.

Tyle lat minęło, zapomniałem o nich zupełnie; zapomniałem o tym bardziej jeszcze, niż o moim artykule, gdy oto we śnie przez jakąś cerebrację<sup>10</sup> nieświadomą zostałem ostrzeżony.

Naturalnie artykuł poprawiłem.

Taki był mój sen i jego wynik w życiu realnym. Dodam tu, że wszystko opowiedziałem dosłownie tak, jak mi widzenia senne pokazały — i że od siebie nie dodałem ani też nie ująłem ani jednego słowa.

Taki sam opis mego snu posłałem towarzystwu *Morpheus, Societ  anonyme pour explication des r ves*<sup>11</sup> w Paryżu. Zanim otrzymam odpowiedź, zaznaczę tu, że nie s dzę, aby ktokolwiek w powyższym śnie szukał jakiegoś sensu moralnego albo jakiejś symboliki nauczającej. Marzenie ulega wyłącznie prawom marzenia.

\*

Na tym się kończy relacja p. J zefa N. W przyszłości podamy inne referaty naszych łaskawych korespondent w.

<sup>9</sup>trafika — sklep z wyrobami tytoniowymi. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>cerebracja (daw.) — aktywność m zgu. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Societ  anonyme pour explication des r ves* (fr.) — Anonimowe towarzystwo na rzecz wyja niania sn w. [przypis edytorski]



---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lange-w-czwartym-wymiarze-sen>

Tekst opracowany na podstawie: Antoni Lange, W czwartym wymiarze. Opowiadania, wyd. drugie, Spółka nakładowa "Książka", Kraków [1912].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: [eduardomineo@Flickr](mailto:eduardomineo@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).